

dni temu dostawiłem nocny stolik i kulawy taboret blisko prostokątnej szyby, którą nawet umyłem. W dzień mogłem się w tym miejscu uczyć. Wiedziałem, że jeszcze muszę wynaleźć jakąś lampkę, gdyby mnie zastał mrok. Nie miałem pojęcia skąd mam ją wziąć, ale byłem przekonany, że kumple coś wymyślą.

A kumpli miałem wspaniałych. Od lat tworzyliśmy zgraną paczkę, bo znaleźliśmy się od wczesnego dzieciństwa. Często przesiadywaliśmy na ławce pod brzoźką, czyli w samym środku podwórka. Pomimo, że większość ławkowego towarzystwa ciągle się zmieniała, moi kumple stanowili trwałe trzon i to bez względu na porę roku. Zazwyczaj pierwszy przychodził Grabarz. Tak naprawdę miał na imię Gienek, ale kto by o tym pamiętał. Jego ojciec miał zakład pogrzebowy, więc Grabarz zazwyczaj posiadał trochę kasy. A poza tym był urodzonym przywódcą, dlatego traktowaliśmy go jak szefa. Natomiast Cienias nigdy nie śmierdzał groszem. Za to miał sprawne palce, więc go Grabarz wysyłał do drobnych kioskowych robót, a konkretnie „na włam”. Nigdy nie wiedziałem po co to obaj robili, skoro Grabarz zawsze mógł Cieniasowi kasę pożyczyć. Ale nie dopytywałem, bo to nie była moja sprawa. Oprócz nich moim ulubionym kumplem był Szymek, zwany Szekspir. Taką ksywę dostał od czasu jak się przy piwku pochwalił, że kiedyś chciałby napisać tomik wierszy. Grabarz dostał kolki ze śmiechu i razem z Gojkiem nadali mu właściwą ksywę. Gojek był Żydem, więc już nie pamiętaliśmy jak miał naprawdę na imię, bo od początku tak na niego wołano. Ogólnie wszyscy go lubili, bo też zazwyczaj był przy kasie, tylko nikt nigdy nie wiedział skąd ją brał. Niestety nie był chętny do pożyczek, ale jak już się z nim potargowało na procent, to potrafił załatwić pokazną sumę. Natomiast do mnie wszyscy mówili Olo, zgodnie z moim imieniem – Aleksander.

Tego dnia gdy uciekłem przed ojcem z książkami pod pachą, zauważyłem przez piwniczne okienko, że kumple zebrali się już w komplecie. Pomyślałem, że godzinka mnie nie zbawi, po czym z powrotem zamknąłem piwnicę na kłódkę i skierowałem się w stronę ławki.

Po męskim powitaniu, usiadłem koło Szekspira i wypaliłem:

– Do technikum będę zdawać.

Spojrzeni na mnie z jeszcze większym zdumieniem niż moja wychowawczyni.

– Na głowę upadłeś? Po co ci to całe technikum? – odezwał się Grabarz, który już od trzech lat rządził u „mechaników”.

– Jemu tak po tej anginie odwaliło – stwierdził Cienias pod moim adresem.

– Może ci stary... antybiotyki zaszkodziły? – spytał Gojek bez owijania w bawełnę.

– To mój kierunek, samochody, przecież dobrze wiecie. A poza tym pomyślałem, że zrobię maturę. Co w tym nadzwyczajnego?

Grabarz się tylko skrzywił, natomiast pozostali kumple zaniemówili.

Ale temat został przerwany, ponieważ ku

zdumieniu wszystkich, a moim w szczególności, zza zakrętu wyłoniła się Mariola z koleżanką. Wiedziałem, że o tej porze ma korki z biologii, bo po maturze wybiera się na medycynę. Najwidoczniej zajęcia przepadły, a pora była na tyle wczesna, że ją tatuś nie musiał przywozić.

– Ale laska z tej naszej Mariolki – westchnął Szekspir.

Pomyślałem, że to oczywiste, bo koleżanka mogłaby jej najwyższej pantofelki czyścić.

Już chciałem coś dorzucić, gdy Grabarz włożył w usta dwa paluchy i wykonał gwizd, który umarłego postawiłby na nogi.

Zaregowała tylko koleżanka i aż przystanęła wpatrując się w naszą ławkę. Natomiast – ku mojej radości – Mariola nawet nie drgnęła tylko szła dalej, z dumnie podniesioną głową.

– To nie było do ciebie! – rzucił Grabarz w stronę koleżanki, a reszta chłopaków zarechotała zgodnym chórem.

– Co za towarzystwo – prychnęła koleżanka i pogoniła za wciąż idącą sztywno Mariolą.

Jeszcze przez chwilę podążaliśmy spojrzeniem za dziewczynami, równo wykręcając głowę w kierunku narożnej sieni. A potem Cienias strzyknął śliną na dwa metry i podsumował:

– Nie dla psa kielbasa.

Przez chwilę zapanowało ponure milczenie. W końcu odezwał się Grabarz:

– Rżnie królową jakby nie wiedziała, że tatuś kasę nabierał na zarzynaniu nienarodzonych dzieciaków.

Wiedziałem, że Grabarz ma rację. Sławomir Kawecki był wziętym ginekologiem, głównie jednak zasłynął z szybkich i udanych aborcji.

Jeszcze chwilę pogadaliśmy o różnych sprawach. Ale do tematu mojej szkolnej przyszłości, jakoś nikomu nie chciało się wracać. Natomiast lampkę nocną dostałem od Szekspira. Przyniósł mi ją już po godzinie, prosto do piwnicy, gdzie wkuwałem historię Polski.

– Masz tu gdzieś kontakt? – zapytał, patrząc z powątpieniem na moje „nowe biurko i fotel”.

– Doprowadziłem kabel. Tu mam spokój – dodałem widząc jego minę.

– Jasne – skinął głową. – A lampka stała kiedyś u mamy na toalecie.

– Ładna. Ma kolorowy abażur...

Spojrzałem na niego i nagle zapytałem:

– Myślisz, że rzeczywiście nie mamy szans u takich dziewczyn jak Mariola?

– Cuda się zdarzają. Moja mama uważa, że jak się uparcie dąży do celu, to... Ale dla czego pytasz? Marzy ci się Mariolka?

– A komu się nie marzy?

– Fakt – westchnął. – Bardzo się zmieniała. Ładniejszej dziewczyny, tak na żywo, to jeszcze nie widziałem. Ale jestem dla niej przezroczysty.

– Ty też?

– Pewnie. Ona mierzy wysoko. Po maturze zdaje na medycynę. Podobno ma zostać dentystką. Tatuś ginekolog, już wykupił lokal w centrum miasta. Oczywiście na jej gabinet.

– Skąd wiesz?

– Mama jest jego pacjentką – pochwalił się.

Tylko westchnąłem. I tak nie mogłem przestać o niej myśleć. Ale jednocześnie wiedziałem, że tak szybko się nie poddam.

Do technikum zdałem bez problemu. Co prawda świadectwo nie było najlepsze, a obniżone zachowanie nie wywołało entuzjazmu. Ale sam egzamin wstępny poszedł mi na tyle dobrze, że komisja uznała, że można dać mi szansę. Mama ucałowała mnie w czoło i powiedziała, że mam się o nic nie martwić. W razie czego weźmie dodatkowe sprzątanie. Stwierdziła, że woli spędzać czas pucując cudze mieszkania, niż płakać w naszym małym, parterowym mieszkanku, gdzie rządzi wiecznie pijany mąż. Pamiętam, że wtedy po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że powinienem jej jakoś pomóc. Nie bardzo jeszcze wiedziałam jak, ale nagle poczułem się współodpowiedzialny za naszą fatalną sytuację.

Z chłopakami nadal utrzymywałem kontakt, chociaż zacząłem się przyjaźnić z Waldkiem, kumplem ze szkoły. W kwestii zawodowej miał podobne marzenia do moich. Również chciał otworzyć warsztat samochodowy, ewentualnie salon sprzedaży, to zależało od sytuacji. Miał lepsze perspektywy niż ja, ponieważ jego ojciec był stolarzem i jak się szybko zgadaliśmy – robił trumny dla taty Grabarza. Waldek więc biedy nie klepał i w związku z wspólnotą interesów, przedstawiłem go moim kumplom. A w szczególności Grabarzowi. Co prawda szkolny kolega i to z technikum mógł budzić kontrowersje, ale w takich okolicznościach wszyscy stwierdzili, że to zabawne, że ojcowie robią w pokrewnych branżach. Grabarz przywitał się więc z Waldkiem jak ze starym kumplem.

Od czasu do czasu, przesiadywaliśmy wszyscy razem na „naszej ławce”. Gadaliśmy najczęściej o dziewczynach lub snuliśmy plany na przyszłość. Zazwyczaj to ja i Waldek opowiadaliśmy o przyszłym i wspólnym biznesie, podczas gdy reszta kumpli wciąż nie bardzo wiedziała, co ze swoim dalszym życiem począć. Bywało, że dołączały do nas jakieś dziewczyny. W szczególności Elka spod trzynastki, córka rozwiedzionej „tancerki egzotycznej”, która lubiła siadać koło Grabarza. Tylko on mógł ją od czasu do czasu obmacać, co skwapliwie robił, objaśniając przy tym każdą czynność na głos.

Elka twierdziła, że za niedługo podobnie jak jej matka, będzie tańczyć na rurze, bo dzięki temu utrzyma figurę i zarobi kasę. Oczywiście pracować będzie do czasu, ponieważ w niedalekiej przyszłości zakocha się w niej fantastyczny gość, który niczym książę uczyni z jej życia jedno pasmo miłosnych uniesień. Facet będzie przystojny jak Gregory Peck i forsiasty, co było oczywiste.

cdn.